

Józef Baran

## Spadając, patrzeć w gwiazdy (34)

(fragmenty)



### Listy – okno na świat

Krzysztof Myszkowski poprosił mnie o wstęp do listów tragicznie zmarłego Janka Rybowicza – niezwykle utalentowanego prozaika oraz poety, który za życia mieszkał w Lisiej Górze (25 kilometrów od Borzęcina). Przy pisaniu powróciły wspomnienia sprzed lat:

80 kilometrów, odległość dzieląca Lisią Górę od Krakowa, to znowu nie taki wielki dystans do pokonania autobusem, pociągiem czy samochodem. A jednak podróże nie były specjalnością Janka, który przyjechał do mnie do Krakowa bodaj tylko trzy razy.

Pierwszy raz, gdy w 1976 spotkaliśmy się w Klubie Dziennikarskim „Pod Gruszką”, gdzie się pojawił wraz z siostrą Grażyną, studiującą polonistykę na UJ, i przyniósł utwory debiutanckie z prośbą o ich druk w tygodniku „Wieści”, gdzie prowadziłem dział literacki. Drugi raz – chyba pod koniec lat 70., gdy sprawił mi wielką przyjemność fakt, że jest już dobrze znany i ceniony w krakowskim środowisku literackim, o czym przekonał się, pijąc ze mną gorzałeczkę w tymże klubie. Trzeci raz zaś w połowie lat 80. Zjawił się bez zapowiedzi trochę jak duch w krakowskim mieszkaniu w środku nocy, wracając z pociągowego wypadu do miejsca urodzenia – Kędzierzyna-Koźla, i pierwszą rzeczą, którą zrobił przed udaniem się spać na odstąpiony mu przeze mnie tapczan, było upranie skarpetek, czym oczywiście oczarował moją żonę.

Ale tak w ogóle wojaże nie były jego specjalnością. Cierpiał na jakiś rodzaj lęku przestrzeni, zamykający go w kręgu pijaczków z „Lisiogórzanki”...

...Tak się złożyło, że Lisia Góra była mi – nie tak dokładnie, ale jednak – pod drodze do Borzęcina. Odwiedzałem więc Janka dużo częściej niż on mnie. W domu Rybowiczów czułem się zresztą dobrze, bywałem serdecznie podejmowany obiadem, a niekiedy kolacją, gdy zostawałem na noc, przez jego mamę Marię, kobiecinę prostą, lecz arystokratycznie

szlachetną i wrażliwą, zawsze zatroskaną o losy syna, którego bardzo kochała.

W związku z niechęcią Janka do wyjazdów w świat, gdzie mieściły się redakcje pism i wydawnictw, jedyną formą jego kontaktów ze znajomkami po piórze bywały listy.

Trudno sobie dziś wyobrazić młodym ludziom, że w tamtych czasach, nie tak znów odległych (20, 30 lat temu), nie było telefonów komórkowych czy połączeń internetowych... że nikt nie słyszał o esemesach czy mailach. Ba! Może ktoś wierzyć albo nie... ale nawet ja, uprawiający zawodowo dziennikarstwo – do roku 1989 nie miałem w domu telefonu, a moje kolejne pisemne monity w tej sprawie były zbywane odmowami. Musiałem doczekać zmiany ustroju, żeby móc sobie wreszcie zainstalować w mieszkaniu M-4 za własne pieniądze „drogocenny” aparat. Oczywiście Janek mieszkający na wsi tym bardziej telefonu nie posiadał, więc o swoim przyjeździe zawiadaniałem zawsze jego mamę pracującą w sklepie, bo na szczęście mogła tam korzystać z owego „unikatowego” urzędnika.

Wspominam o tym, żeby zarysować tło tamtej epoki, gdy pisanie listów na papierze nie było jeszcze sztuką podupadłą, czy wręcz upadłą, tak jak to jest dzisiaj... no i by zdać sobie sprawę z ważności tej „staroświeckiej” formy komunikowania się.

Listy Janka (mam ich ponad czterdzieści) pisane szybko, na maszynie bądź długopisem, w celach doraźnych, informacyjnych, okolicznościowych, rzadko odznaczały się wykwintnym artystycznie, wyelegantowanym literacko stylem, raczej informowały, co w danej chwili robi, czym i z czego żyje, co pisze, w jakim stanie ducha się znajduje (w euforii czy w depresji), na kogo się wścieka, co go złości, a co zachwyca i dodaje skrzydeł.

Dzięki listom odreagowywał stresy i irytację. Niekiedy jego dłonią sterował przy pisaniu alkoholowy demon, który w niego na jakiś czas wstępował i z którym sobie nie radził, więc zdarzało się, że na przykład prosił mnie o przyjazd i przyjacielską pomoc przy wypędzeniu go... Znajdują się wśród jego listów koperty z pieczętkami „OCENZUROWANO” bo wysłane zostały z Ośrodka dla Internowanych w Załężu, gdzie zamknięto go na przełomie lat 1981/1982... Do wielu listów dołączane były opowiadania (bardzo wysoko je ceniłem) i wiersze, które później drukowałem w tygodniku „Wieści”, zdając sobie sprawę nie tylko z ich literackiej wartości, ale i z faktu, że Jankowi pieniądze z honorarium są potrzebne, bo przecież nigdzie etatowo nie pracował.

Wczesne listy są „kulturalne”, grzeczne; pisał je debiutant do „znanego” już poety, którego – a jakże, wypadało mu tak – zaliczał do „pierwszej piątki poetów polskich”. Późniejsze – coraz bardziej bezceremonialne, świadome wielkiego talentu, jakim obdarzył go Pan Bóg czy diabeł, noszące piętno jego gwałtownej, czasem pysznej i niepohamowanej natury... Ale zdarzają się też listy rozpaczliwe, odsłaniające słabość człowieka szamoczącego się w sieci samotności, uzależnień i ograniczeń: „Józiu, Napisz coś do mnie albo przyjeżdż najlepiej i najszybciej – jak możesz – bo nie wiem, co się ze mną dzieje!!!”.

Twarz Janka wyłaniająca się z korespondencji miała wiele emocjonalnych odmian, ale

najbardziej wzruszała mnie i poruszała twarz umęczonego przyjaciela, który nie umie sobie poradzić z alkoholem i któremu ja też nie potrafię w żaden sposób pomóc.

Oczywiście Janek nie byłby sobą, gdyby na kopertach z listami nie brakowało dopisków w rodzaju: „Komuniści do leczenia!” albo „PZPR do psychiatry”. W związku z tym byłem wzywany na przesłuchanie do Urzędu Bezpieczeństwa w Krakowie, gdzie dyskutowałem z mającym ambicje intelektualne oficerem o walorach książek Rybowicza wydawanych wówczas w najlepszych oficynach literackich w Polsce.

W istocie Janek nie był konsekwentny w swoich poglądach politycznych, niekiedy się zmieniał (na przykład wstąpił do ZLP). Organicznie nie cierpiał „komuchów”, co nie znaczy, że na dłużej potrafił się zakochać w Solidarności. Był naturą wolną, anarchizującą, umysłem nieskrępowanym, skrajnym indywidualistą, mało skłonnym do zbiorowych, choćby najszlachetniejszych uniesień.

Wielki duch w podatnym na nałogi słabym ciele; w klatce mieszkania z widokiem na knajpę „Lisiogórzanka”, która codziennie wzywała go przez szosę i z której realnym majakiem i koszmarem starał się walczyć jak święty Jerzy ze smokiem, raz z gorszym, raz z lepszym skutkiem...

I o tym też Janek w listach do mnie pisał...

Po jego śmierci (zapił się albo zatrzał – jak mówiono w Lisiej Górze – „ruskim spirytusem”) zapadło milczenie, przerywane tylko czasami, na przykład długim esejem Jana Marxa o pisarzu z Lisiej Góry zamieszczonym wraz z jego wierszami i opowiadaniem w głośnej antologii „Legendarni i tragiczni”. Dość wspomnieć, że w tej tysiącstronicowej księdze polskich literackich „kamikadze”, zredagowanej przez Marxa i wydanej w 2002 w oficynie „Alfa” – 200 stron, a więc najwięcej, zajmuje twórczość mojego zmarłego przyjaciela!

W grudniu 2005, w 15 lat po śmierci autora „Wiochy Chodaków”, dowiedziałem się, że zapomnianego poetę zamierza wskrzesić Krzysztof Myszkowski, lider kultowego Starego Dobrego Małżeństwa. Właśnie przygotowuje płytę z utworami Janka, do których napisał muzykę. Bardzo się ucieszyłem, bo dzięki tej płycie poeta miał szansę trafić do serc młodych ludzi.

Wysłała jedna... Wysłała druga, trzecia i czwarta płyta z piosenkami Rybowicza...

Wzrosło ogromnie zainteresowanie i nim, i tym, co po sobie pozostawił, także – listami. Zostałem przekonany, że warto je wyciągnąć z zakurzonego pudła na światło publiczne. Fragmenty mojej korespondencji z Jankiem ukazały się w „Poboczach” a teraz za namową Krzysztofa zdecydowałem się na opublikowanie całości w książce.

Swoją drogą, wyobrażam sobie, jak niesamowitą frajdą dla Janka byłoby znalezienie się na koncercie SDM i zobaczenie tłumów znających na pamięć i śpiewających jego buntownicze wiersze. Niestety to szczęście nie było mu za życia dane.

Janek miał poczucie wielkiego osamotnienia i zapomnienia...

cdn.